

Adwokat

CZESŁAW JAWORSKI

1934-2018

Redaktor naczelny „Palestry”

1990-1992, 2010-2018



Z głębokim smutkiem informujemy
o śmierci redaktora naczelnego
adwokata Czesława Jaworskiego

wybitnego prawnika, który Adwokaturę uczynił na niemal sześćdziesiąt lat
swoją Miłością i Obecnością,

odważnego obrońcy w licznych procesach politycznych okresu
Polski Ludowej oraz w skomplikowanych procesach karnych i lustracyjnych
w Trzeciej Rzeczypospolitej,

prezesa Naczelnej Rady Adwokackiej (1995–2001),

powszechnie szanowanego autorytetu prawniczego zatroskanego
o Adwokaturę, wymiar sprawiedliwości, o Polskę,

prawego i życzliwego każdemu Człowieka,

redaktora naczelnego, który wprowadzał „Palestrę”

w Trzecią Rzeczpospolitą (1990–1992)

i poświęcał się jej w ostatnich latach (2010–2018).

Będzie nam brakowało mądrych rad i niedokończonych rozmów
o prawie, rzeczywistości dnia codziennego, o pasjach sportowych
i krajoznawczych.

Łączymy się w bólu z Panią Elżbietą,

z Córką Małgorzatą z Rodziną,

z Synem adw. Piotrem z Rodziną

i wszystkimi Bliskimi

R.I.P.

Kolegium, Redakcja

ADWOKAT SPEŁNIONY

[...]

Bez pana palestra już nie będzie taka sama.

Ona już od jakiegoś czasu ma całkiem nowe oblicze. A to za sprawą ogromnej rzeszy młodych ludzi, którzy zasilili jej szeregi. To nowe pokolenie inaczej patrzy na pewne sprawy, ma inne priorytety. Sąd także już nie ten, do którego przez lata przywykłem. Młodzi sędziowie mają lepszy kontakt z adwokacką młodzieżą.

Studia prawnicze rozpoczął pan w samym środku epoki stalinowskiej. Skąd ten wybór? W tamtych czasach nie był to najbardziej perspektywiczny kierunek.

Miałem niespełna 18 lat i byłem średnio uzdolniony do wszystkich przedmiotów. Mój nauczyciel fizyki w warszawskim liceum im. Rejtana był np. przekonany, że powinienem pójść na politechnikę. Mnie jednak ciągnęło do prawa, choć nie umiem wytłumaczyć, dlaczego. W rodzinie żadnego prawnika nie miałem.

A dlaczego adwokatura?

Wtedy funkcjonowały nakazy pracy. Po skończeniu prawa chciałem pójść do sądu, ale z pewnych powodów, które dziś uznalibyśmy za polityczne, zostałem skreślony. Wziąłem więc nakaz pracy do adwokatury, która w takiej sytuacji wydawała mi się najrozsądniejszym rozwiązaniem. Z tym że początkowo nie pozwolono mi pozostać w stolicy i tak wyładowałem na aplikacji w Olsztynie.

Czytałem niedawno książkę Krzysztofa Piesiewicza, który wspominał, że gdy on był aplikantem, na roku było kilkanaście osób. A w Olsztynie?

Z tego, co pamiętam, było nas pięciu lub sześciu. Ja w każdym razie miałem legitymację nr 5. Zachowałem ją na pamiątkę do dziś. Izba Olsztyńska była nowa, powołano ją w styczniu 1951 r.

Warunki do nauki adwokackiego rzemiosła nieporównywalne z obecnymi.

To prawda. Funkcjonujące wówczas zespoły adwokackie w miejsce dzisiejszych indywidualnych kancelarii miały z kolei tę zaletę, że umożliwiały kontakt z szerokim gronem kolegów, można było podpatrywać wielu znakomitych adwokatów.

A kto był pana patronem?

Pierwszym, w Olsztynie, był dziekan tamtejszej rady adw. Stefan Gąsiorowski. Wspaniały człowiek. To że byłem absolwentem prawa UW tuż po ukończeniu studiów, mogło mieć pewne znaczenie, że dziekan wziął mnie pod swoje skrzydła. Gdy po półtora roku udało mi się przenieść do Warszawy, miałem dwóch patronów – byłego wiceprezesa sądu wojewódzkiego dr Marcela Różyńskiego i Mieczysława Freudenheima. Też niezwykłych ludzi.

To oni zaszczepili w panu pasję do prawa karnego?

Raczej pogłębili. Już na studiach zainteresowała mnie ta dziedzina, pracę magisterską pisałem z procedury karnej.

Ale jeszcze jako aplikant został pan radcą prawnym.

Tak, przyjąłem odpowiedzialną funkcję radcy w Wojewódzkim Związku Spółdzielczości Pracy, a później także w MHD Stare Miasto. Zatem kończąc aplikację byłem nieźle przygotowany zarówno z dziedziny prawa karnego, jak i cywilnego.

Karne jednak zwyciężyło.

Dawało większe możliwości, było bardziej pociągające. W sprawach karnych koncentrują się wszystkie najważniejsze – od strony negatywnej – wydarzenia w kraju.

A czy ta specjalizacja była też bardziej atrakcyjna finansowo?

Wręcz przeciwnie. Gdy rozpoczynałem praktykę adwokacką, stawki były z góry określone i to na niskim poziomie. Na lepsze

zarobki mogli liczyć adwokaci prowadzący sprawy cywilne, w których wynagrodzenie było uzależnione od wartości sporu.

Pamięta pan swoją pierwszą sprawę w sądzie?

Pamiętam. Proces toczył się w Kętrzynie, chodziło o bójkę, ja broniłem jednego z kilku współoskarżonych. Mój patron znał dobrze prezesa tamtejszego sądu, a że bardzo o mnie dbał, to gdy miałem po raz pierwszy wziąć udział w rozprawie, zadzwonił i poprosił, by ten prezes spoglądał życzliwym okiem na ewentualne moje potknięcia czy niedociągnięcia. Poradziłem sobie chyba całkiem nieźle, bo mój klient jako jedyny został uniewinniony. Nawet patron był trochę zaskoczony.

A miał pan tremę po raz pierwszy zabierając głos na sali sądowej?

Nieprawdopodobną. Przygotowywałem się przez wiele dni, zapisałem parę zeszytów pytań, z których oczywiście potem nie skorzystałem, miałem przygotowane przemówienie, a jak sędzia udzielił mi głosu, poczułem pustkę w głowie. Przez dobrą minutę skrupulatnie odsuwałem i ustawiałem krzesło, by zdążyć zebrać myśli i odzyskać dyspozycję.

Potem były sprawy o pobicia, zabójstwa, różnego rodzaju malwersacje, a nawet jedna o molestowanie, ale prawdziwą renomę zyskał pan występując w głośnym procesie o... grzejnik.

W latach 60. kilkunastu wybitnej klasy polskich rzemieślników inżynierów opracowało oryginalną technologię budowy grzejników kolejowych, która nie odbiegała od nowoczesnych światowych standardów. Prokuratura, opierając się na ekspertyzie biegłych, zarzuciła im, że grzejniki są sprzedawane zbyt drogo, co oznaczało działanie na szkodę gospodarki społecznej i wyłudzenie znacznych korzyści. To były bardzo poważne zarzuty, oskarżonym groziło od pięciu lat nawet do dożywocia. Ja broniłem głównego oskarżonego, któremu, ku zaskoczeniu obecnych na sali rozpraw,

zadałem tylko jedno pytanie: czy stosując materiały o parametrach określonych w opinii biegłych da się zbudować taki grzejnik, jak jego. On stwierdził, że da się zmontować najwyżej domową kuchenkę. W toku dalszych przesłuchań ekspertyza została podważona, biegli przyznali się do błędu, a sędzia wydał wyrok uniewinniający. Biorąc pod uwagę kaliber sprawy i realia epoki, była to sensacja. Tak już na marginesie dodam, że proces toczył się przez pół roku, pięć dni w tygodniu.

Sędzia chyba sporo ryzykował. Nie jest tajemnicą, że partia pilnowała, by zwłaszcza w sprawach gospodarczych zapadały wyroki skazujące, i to surowe.

To prawda. Wystarczy przywołać historię wybitnego sędziego Michała Kulczyckiego, który po tym, jak wydał wyrok niezgodny z oczekiwaniami czynników politycznych (chodziło o tzw. aferę skórzaną – red.), stracił stanowisko prezesa sądu w Warszawie i został zesłany gdzieś w teren jako szeregowy sędzia. Wówczas hołdowano pozytywistycznej teorii prawa, które musi być stosowane nawet, gdy jest niesprawiedliwe.

A zdarzyło się, by jakiś sędzia pana bardzo pozytywnie zaskoczył, znajdując salomonowe wyjście mimo niesprzyjających okoliczności?

Tu przypomina mi się historia pewnego kioskarza. Ów człowiek przez 2 dni nie odprowadzał utargu, za zgromadzoną kwotę kupił samochód marki Warszawa, następnie sprzedał go z zyskiem, a należny utarg zwrócił do kasy. Prokurator zażądał dla niego 15 lat więzienia jako karę za zagarnięcie mienia. Sędzia Waław Sutkowski, zresztą mój kolega z roku, późniejszy prezes izby cywilnej Sądu Najwyższego, odstąpił od tego rodzaju koncepcji uznając, że to było czasowe przetrzymanie mienia i przekroczenie uprawnień. Skończyło się na łagodnej karze pozbawienia wolności z warunkowym zawieszeniem jej wykonania.

W sprawach związanych z tzw. aferą mięsną też pan uczestniczył?

W bardzo wielu, na szczęście nie w tej, w której orzeczona została kara śmierci. W pewnym momencie, choć byłem młodym adwokatem, trudne sprawy gospodarcze stały się moją specjalnością. To było pokłosie tego procesu o grzejnik, który miał zresztą dalszą historię, bo po wielu proceduralnych bojach udało się mi wywalczyć dla klienta zwrot willi zajętej przez skarbowkę, która nałożyła domiar. Bronilem np. jednego z oskarżonych w głośnej na przełomie lat. 60 i 70. aferze dewizowej. Ze średnim skutkiem, bo zapadł wyrok 25 lat więzienia. Mojemu klientowi za kratami przydarzyła się dość zabawna przygoda. Miał kłopoty z zębami, więc został przewieziony z ul. Rakowieckiej w Warszawie do Siedlec. Do tamtejszego zakładu rzadko trafiał ktoś z tak wysoką karą, więc naczelnik postanowił osobiście poznać delikwenta. Zdziwił się nieco, gdy wprowadzono mu typowego delikatnego inteligenta w okularach, ale nie zrażony zapytał: „Kogo zarąbałeś”? Był pewien, że 25 lat mógł dostać tylko zabójca. Słyszając zaprzeczenie poprosił, by mu dokładnie opowiedzieć szczegóły sprawy i ostatecznie stwierdził: „Panie, gdybym ja był premierem, to pan byłbyś u mnie ministrem handlu zagranicznego, a nie siedział w więzieniu”. Takie to wówczas były przestępstwa gospodarcze.

Czy wtedy adwokaci prowadzili więcej spraw, czy dziś?

Teraz bierze się trzy, cztery sprawy w miesiącu, wtedy nawet kilkanaście. Ja rocznie prowadziłem ich ok. 120.

Kiedy wśród nich pojawiły się te polityczne?

Pierwszych porad udzielałem po 1968 r., ale wówczas nie wiązało się to jeszcze z obroną w sądzie, chodziło o konsultacje. Na dużą skalę sprawy polityczne pojawiły się po 1980 r., szczególnie po wprowadzeniu stanu wojennego.

Nie miał pan obaw przed ich przyjmowaniem?

Dla mnie było czymś naturalnym, że nale-

ży się nimi zajmować, nie słyszałem zresztą, by adwokaci, przynajmniej w izbie warszawskiej, odmawiali obron w tych sprawach. Traktowaliśmy to przede wszystkim jako obowiązek obywatelski i patriotyczny. Znamienne jest, że nazajutrz po wprowadzeniu stanu wojennego członkowie Rady Adwokackiej w Warszawie spontanicznie zebrali się w pokoju adwokackim w sądzie, gdzie podjęta została uchwała będąca swoistym protestem przeciwko stanowi wojennemu. Zobowiązała też obrońców do bezwzględnej obrony praw człowieka i obywatela.

Jako obrońca w procesach politycznych miał pan ponoć szczęście do sędziów.

Proszę sobie wyobrazić, że we wszystkich prócz jednego procesach, w których broniłem w okresie stanu wojennego, zapadły albo wyroki uniewinniające, albo łagodne wymiary kary z warunkowym zawieszeniem. Czasem orzeczenia były naprawdę zaskakujące. Bronilem kiedyś wspólnie z adw. Maciejem Dubois studentki złapanej 17 grudnia 1981 r. podczas rozlepiania plakatów. Przebieg procesu wskazywał, że zapadnie łagodny wyrok, ale my martwiliśmy się, że dziewczyna nie będzie mogła wrócić na uczelnię. Wtedy takie osoby masowo relegowano ze studiów. Zgłosiliśmy więc wniosek, by w ramach kary pozbawienia wolności wymierzonej z warunkowym zawieszenia jej wykonania sąd zobowiązał naszą klientkę do dalszej nauki. I sędzia, kapitan wojska polskiego, ten wniosek uwzględnił. Później uczelniana komisja dyscyplinarna, która oczywiście się zebrała, była związana wyrokiem sądu. A tamta studentka dziś jest świetnym psychologiem.

A ten jeden skazujący wyrok?

Dostałem z urzędu sprawę ZOMO-wca złapanego na kradzieży wódki. W tym przypadku mój klient trafił za kraty, ale bodaj tylko na rok, zamiast, jak chciał prokurator, na trzy lata.

Niedawno spory ferment wywołał pewien warszawski adwokat publicznie piętnując kolegę po fachu za reprezentowanie

domniemanego terrorysty i wywalczenie dla niego w Strasburgu odszkodowania, które Polska będzie musiała zapłacić. Bo takiej sprawy po prostu nie należało przyjmować.

Taka opinia świadczy o niezrozumieniu istoty adwokatury. Już w okresie międzywojennym obowiązywał pogląd, z którym ja się zgadzam, że w pewnych sytuacjach adwokat może odmówić przyjęcia sprawy, a w innych wręcz odwrotnie – nie wolno mu tego zrobić. W pierwszym przypadku chodzi o sprawy raczej z zakresu prawa cywilnego, w drugim – właśnie o sprawy karne. Bo tu idzie o realizację konstytucyjnego prawa człowieka do obrony jego wolności, czci, mienia, a nawet życia. Tylko bardzo ważny powód może przesądzić o odmowie przyjęcia sprawy. W sprawie karnej nie ma dla obrońcy ważniejszego interesu niż interes klienta.

A panu zdarzyło się odesłać z kwitkiem oskarżonego w sprawie karnej?

Nie przyjmowałem spraw o gwałt zbiorowy. Jako ojciec dorastającej córki czułem, że im nie podołam i nie będę potrafił zaangażować się w sposób, jakiego klient by oczekiwał.

W ostatnich kilkunastu latach pana nazwisko pojawiało się w wielu procesach z pierwszych stron gazet. Poseł, oskarżeni w aferze FOZZ, prezes PZU Życie, senator, minister, prezydent itd. Jak się pozyskuje klientów z najwyższej półki?

W wielu tych przypadkach dołączałem do już pracującej grupy adwokatów uważających, że moja osoba może przyczynić się do wzmocnienia ławy obrończej.

Brzmi to skromnie, a słyszałam, że tylko pan potrafi raz przeczytać akta i od razu sformułować wnioski, nad którymi inni głośnią się tygodniami.

Rzeczywiście, analiza akt nieźle mi wychodzi. Poza tym uchodzę, chyba nie bez powodu, za pracusia (uśmiech). Proszę pamiętać, że wbrew pozorom praca adwokata nie polega tylko na występowaniu przed

sądem, ale w istotnej mierze na drobiazgowym przygotowaniu sprawy, najlepiej od samego jej początku.

Ale to pan był w latach 60. jednym ze współorganizatorów Studium Wymowy Sądowej dla studentów prawa na Uniwersytecie Warszawskim.

Głównym architektem tego pomysłu był wybitny adwokat Witold Bayer, twórca Ośrodka Badawczego Adwokatury. To był bardzo ciekawy projekt. Język polski był wówczas straszliwie kaleczony – w gazetach, w telewizji, przez przedstawicieli władzy, co rzutowało na język oficjalny, w tym sądowy. My, adwokaci, oraz środowisko aktorskie zmówiliśmy się, by jakoś temu zaradzić. Studenci mieli okazję uczyć się dykcji, modulacji głosu, operowania mimiką od Świderskiego, Holoubka, Bardiniego, Mazurowej. A najlepsi adwokaci, m.in. de Virion, Krzemiński, Rościszewski, Piesiewicz, Wende prowadzili wykłady o sposobie konstruowania przemówienia w danym rodzaju postępowania, znaczeniu adwokata w życiu publicznym itd. Przychodziły tłumy.

Przy okazji walki o piękną polszczyznę został pan gwiazdą telewizji.

Bez przesady. Rzeczywiście przydarzyła mi się zabawna sytuacja. Gdy byłem szefem szkolenia aplikantów adwokackich i doskonalenia zawodowego adwokatów, nagraliśmy dla 2 programu telewizji serię audycji poświęconych wymowie. Konwencja była taka, że aplikanci wygłaszali przemówienia „sądowe”, a powołane jury je oceniało. Moja rola sprowadzała się do bardzo krótkiej wypowiedzi wprowadzającej i półminutowego podsumowania na koniec programu. Któregoś dnia siedzę w restauracji z moim przyjacielem, obydwaj jesteśmy w stroju i nastroju działkowym, a tu podchodzi do mnie pani kelnerka i mówi: „Panie mecenasie, czy ja bym mogła z panem porozmawiać?”. Pytam, skąd wie, że jestem adwokatem, a ona odpowiada: „Przecież pan występował w telewizji?!”. Zrozumiałem wówczas, jak potężną siłę stanowią środki masowego

przekazu. Przy okazji warto wskazać na rolę samorządu adwokackiego, który zawsze stara się wychodzić z wieloma różnymi inicjatywami adresowanymi nie tylko do naszego środowiska.

Toczy się obecnie dyskusja wokół wpisania do ustawy - Prawo o adwokaturze zapisu o możliwości odwołania się do Boga pod-

czas ślubowania adwokackiego. Czy pana zdaniem taka regulacja jest potrzebna?

Na pewno nie zaszkodzi. Przy okazji tej dyskusji życzyłbym sobie również, abyśmy my adwokaci w swojej praktyce zawodowej - i nie tylko - zwracali również uwagę na ważne zobowiązania wynikające z roty ślubowania.

Rozmawiała *Ewa Szadkowska*

Rozmowa ukazała się w tygodniku „Prawnik” DGP z 5-7 września 2014 r., nr 172 (3813), s. C2-C3.

Dziękujemy redakcji DGP za zgodę na przedruk.

Obszerny życiorys Mecenasa Czesława Jaworskiego został opublikowany w dedykowanym Mu specjalnym zeszycie „Palestry” (nr 9 z 2014 r.), wydanym z okazji 80. urodzin i 50-lecia pracy w samorządzie.

* * *